

# ŁUDMIŁA PIASECKA



*Tygodnie*



Wydawnictwo  
Nasza Księgarnia

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014  
Text © by Ludmiła Piasecka 2014

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*  
Zdjęcia na okładce: © Nikita Buida/Dreamstime.com  
© Photographerlondon/Dreamstime.com © coxci/sxc.hu  
© jannes/sxc.hu © Ioleia/sxc.hu © kovik/sxc.hu © sinanacar/sxc.hu  
© lusi/sxc.hu © MamPrint/sxc.hu © FlorinN/sxc.hu © me4sakura/sxc.hu  
© muffet1/sxc.hu © LotusHead/sxc.hu © mgyro51/rgbstock.com  
© ndkpc70/rgbstock.com © 2dwRxH2/rgbstock.com  
© o2BgqWa/rgbstock.com

*Książkę wydrukowano na papierze Creamy 60 g/m<sup>2</sup> wol. 2,0.*

**PaperlinX**



---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [wnk@wnk.com.pl](mailto:wnk@wnk.com.pl)

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: [sklep.wysylkowy@wnk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@wnk.com.pl)

**[www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)**

---

Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*  
Korekta *Magdalena Adamska, Krystyna Lesińska,*  
*Baharat Joanna Morawska*  
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12520-0

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.  
Wydanie pierwsze  
Druk: Drukarnia COLONEL, Kraków

Siedzę w aucie. Wyłączyłam radio i silnik. Tylne szyba roztrzaskana przez gałąź kasztanowca przypomina lód. Wyciągam się na siedzeniu i przeglądam jednocześnie kilka szuflad myśli. Nie zamierzam nic z tym robić. W głowie mam młot pneumatyczny. Buty zaatakowały mi pięty. No dobrze, zdejmę to skórzane barachło. Kiedy jesteś na bosaka, pewne fakty stają się nagie jak topola w lutym. Tak! To ja! Przekraczam wiek graniczny. Dotarłam do miejsca, w którym zatrzymało się trzydzieści parę lat mojego życia. Utknęłam.

Dlaczego sterczę tu bosko, robiąc z siebie widowisko? Chyba próbuję znaleźć początek. Tak. Wczoraj miałam urodziny. Odmierzam kolejny ciąg liczb.

#### *Dziesięć.*

Od dziesięciu lat konsekwentnie prowadzę nudne życie. Zatrudniłam się jako trybik w mechanizmie koła zębatego. Koło kręci się zawsze w tym samym kierunku. Ja razem z nim.

#### *Siedem.*

Siedem minut zajmuje mi zatrzaśnięcie drzwi, umalowanie ust w samochodzie, odpalenie auta i dotarcie do zakorkowanego kawałka przestrzeni.

#### *Czterdzieści dziewięć.*

Tyle czasu przeciętnie spędzam w drodze do koła zębatego, tkwiąc w metalowej puszcze zaopatrzonej w klimatyzację, rurę wydechową i dwie poduszki powietrzne.

### *Piętnaście.*

Piętnasty dzień miesiąca to triumf plastikowej karty. To wtedy najczęściej uruchamiam debet. Żeby nie martwić się gotówką, ulatniającą się jak hel z przebitego balonu, idę na łowy do galerii. Jeśli dopisze mi szczęście, zalewam marynarkę sosem z kebabu albo pianką z espresso macchiato. Opuszczam wtedy galeriański eden na tyle wcześnie, że mam jeszcze ochotę obejrzeć w domu złowioną zwierzynę.

### *Jeden.*

Mam jednego męża, z którym rozmawiam około jednej godziny dziennie. Najczęściej jedząc jeden wspólny posiłek, przy którym z częstotliwością około jednego razu na minutę pozwalam się osaczać kolejnym newsom z kanału 24-godzinnych wiadomości TVN.

### *Dziewięć i dwa.*

Dziewięć lat temu sprowadziłam na świat jednocześnie dwoje istot. Będąc mamą, nie nauczyłam się jednak cennej sztuki bycia dzieckiem, dlatego by nie zanudzić bliźniaków i siebie, regularnie planuję im życie.

### *Pięćdziesiąt dwa.*

Za dokładnie pięćdziesiąt dwa tygodnie będę obchodzić trzydzieste piąte urodziny. Tyle daję sobie czasu, by odmienić swoje życie.

Dając upust maniakalnej naturze, wyczołguję się z auta i raz jeszcze wkładam buty. Przesuwam się ruchem niejednostajnym w stronę kiosku. W połowie drogi cofam się ćwierć kroku i porzucam szpilki na ławce. Siadam. Patrzę na stadko kąpiących się w kałuży wróbli. Wstaję. Idę w stronę parku. Po kilku minutach wracam, przypomniawszy sobie o porzuconych szpilkach. Ławka świeci

pustką. Ktoś zabrał już moje buty. Uzbrajam się w niewinną minę oraz okulary słoneczne i raz jeszcze pokonuję ten sam dystans. Na bosaka. Siadam na wymoszczonej przez studenckie tyłki trawce pod kasztanowcem. Trawa furkocze mikroskopijnym życiem. Jak to możliwe, że w ciągu kilku sekund powylaziły stąd wszelkiej maści stworzenia trawiasto-drzewne? Dobrze. Niech będzie. Biorę je na świadków. Składam przysięgę przed wami, robaczki nadrzewne i naziemne:

Przysięgam, że każdego z pięćdziesięciu dwóch następnych tygodni będę robić to, czego nie robiłam do tej pory; to, co zawsze chciałam zrobić, ale byłam zbyt dużym tchórzem, by się na to zdobyć; to, co robiłam zbyt rzadko i byle jak, choć zasługiwało na więcej uwagi; to, co sprawiało mi przyjemność, a na co prawie nigdy nie znajdowałam czasu. Mam pięćdziesiąt dwa tygodnie, by trybik zmienić w człowieka, który rozumie, czym jest szczęście.



# CZERWIEC

## Tydzień pierwszy PORTFEL W ZAMRAŻALNIKU

Wczoraj spakowałam swój portfel razem z całym majdanem plastikowych kart do pudełka na żywność. Schowałam wszystko do zamrażalnika i przykryłam stosem mrożonek warzywnych. W portfelu mrozi się też prawo jazdy. Nie muszę kierować się logiką, ale konsekwencją na pewno tak. Pierwszy tydzień będzie tygodniem bez pieniędzy, dlatego zamieniam samochód na bezpłatny środek transportu w postaci pary własnych nóg. Planuję też meandryczną trasę powrotu do domu, by szerokim łukiem ominąć miejsca newralgiczne: wszelkiej maści sklepidła i centra handlowe. Czy naprawdę można tam nie zajrzeć, gdy się wraca z pracy?

Czerwcowy poranek częstuje delikatnym chłodem, zanurzonym w złotych misach światła. Wkładam lnianą sukienkę i antyczne sandały (tak nazywam swoje nastoletnie rzemyki). Droga do pracy, po raz pierwszy od lat pokonywana na piechotę, nagle ujawnia małe niezwykłości. Chmury rysują tajemnicze cienie na mijanych budynkach. Popielate skrzydła gołębi porastają srebrem. Robinie sypią pod nogi białe, wełniane chochliki.

Zajęcia ze studentami trwają dziś krócej niż powrót do domu. Trybik wyrwany z mechanizmu koła zębatego wraca do domu powłóczystym krokiem, naokoło, przez park. Na moście udaję Amelię i pięć razy próbuję puszczać kaczki. Całkowite fiasko. Zbyt ugrzecz-

nione dzieciństwo znów daje o sobie znać. Na pocieszenie wysłuchuję jednego z *Koncertów brandenburskich* w wykonaniu ulicznego półwirtuoza skrzypiec. Muzyk docenia moją wytrwałość i zaprasza mnie na lody na patyku. Nie odmawiam. Mistrz smyczka szelmowsko zapewnia, że wybierze mój ulubiony smak. Nie trafia. Wybiera truskawkowy; limonkowych nie było, na szczęście. Tuż przed domem odruchowo zaglądam do spożywczaka. Po pięciu krokach, z wdziękiem raka, wycofuję się na neutralny grunt. Czyżby? Można wrócić z pracy, nie robiąc zakupów?

W drzwiach mali i duzi wylewają mi na głowę wiaderko rozczarowań.

– Mamo! Mówiłaś, że kupisz nam lody! – Franek patrzy na mnie spode łba, próbując chyłkiem zajrzeć do mojej torebki.

– No właśnie! I truskawki! Czemu nie kupiłaś truskawek? – pyta Zośka.

– Pewnie zamiast truskawek kupiłaś sobie kolejną parę butów.  
– Złośliwa uwaga Franka przypomina mi, że poczucie humoru odziedziczył po Wojtku.

– Albo kolejną parę kolczyków. – Zośka szczyrzy zęby, postanawiając dotrzymać kroku bratu.

– Albo kolejną parę wszystkiego...

– Nie można wszystkiego kupować w parach. – Mądrząca się Zośka, dzięki Bogu, przerywa wywód Franka.

– A jutro coś nam kupisz? – Franek nie daje za wygraną.

– Nie! Jutro nic nie kupię, i pojutrze też nic! – wykrzykuję, posyłając rodzinnemu ludkowi dorodny uśmiech.

– Dajcie spokój mamie, przecież widzicie, że jest chora. – Wojtek przychodzi mi z pomocą po to tylko, by za chwilę mnie zdradzić. – Kochanie, mogę się założyć, że jeszcze dziś wybierzesz się na zakupy – szepcze, składając judaszowy pocałunek.

– Zobaczmy! – Uśmiecham się à la Julia Roberts i znikam w łazience.



Rozsiadam się na kibelku, próbując złapać w słowa rozpedzone stado myśli. „Zanim zdecyduję się coś kupić, zadam sobie pięć prostych pytań – postanawiam. – Czy naprawdę tego potrzebuję? Czy nie mogę zrobić tego sama albo zastąpić czymś innym? Czy to jest warte swojej ceny? Jak długo będę się tym cieszyć? Ile godzin ktoś inny musiałby na to pracować?”.

Wtorek zaczyna się nieustającą litanią pytań, gdy rozczarowana Zośka kończy poranną penetrację lodówki.

– Mamo, dlaczego nie kupiłaś nam wczoraj jogurtów? A kupisz nam dzisiaj lemoniadę?

– Właśnie! Le-mo-niadę, le-mo-niadę! – skanduje Franek, wprowadzając do kuchni w piżamowo-dżinsowym stroju. Zośka natychmiast dołącza do Frankowego bicia w werble.

– Nie. Niczego wam dzisiaj nie kupię! – przekrzykuję rozbrykany diabelski ludek. – Zresztą sami możemy sobie zrobić lemoniadę. Jest pełno cytryn. Są nawet dwie limonki!

– Ale ty nigdy nie robiłaś lemoniady... – Franek sam nie wie, czy cieszyć się, czy smuć.

– No to co z tego? – Uśmiecham się z przekorą. – Dzisiaj zrobię pierwszą w swoim życiu. A wy będziecie moimi współnikami – zarządzam. – Zgoda?

– Zgoda! – Dzieciaki przekrzykują się wzajemnie i milkną nagle, kiedy do kuchni zagląda tata.

– Co tak cicho? Spiskujecie?

– Spiskujemy! – parskam, zarażając bliźniaki wirusem niepoahamanego śmiechu.

– Majka, naprawdę zaczynam się o ciebie niepokoić... – Wojtkowi nie podoba się to, że musi pędzić do pracy, a my mamy jeszcze dwie godziny wolnego przedpołudnia.

– Włącz sobie odgłosy lasu zamiast radia – radzę. – Podobno pomagają na stres. Pa!

Gdy Wojtek przekręca kluczyk w stacyjce, mali i duzi spiskowcy wcielają w życie swój plan. Wyciągamy z lodówki najważniejsze jego elementy: dwie niepozorne, karłowate limonki i dwie dorodne cytryny. Niczym Einstein odkrywam, że aby zrobić lemoniadę, potrzeba tylko trzech składników: wody, cytryn lub limonek i cukru. Zabieramy się do obierania owoców.

– Mamo, a zjadłabyś taką limonkę? – Franek zaczyna pracę od fachowego wywiadu.

– Jak byłam mała, to jadłam cytryny z cukrem. – Szczerzę zęby do syna. Obrane limonki moszczą już swoją kwaskowatość w szklanej misce.

– Z cukrem się nie liczy! – Franek z miejsca dyskwalifikuje mój wyczyn z dzieciństwa.

– Tak? A które z was zje limonkę bez cukru i z uśmiechem na ustach? – rzucam wyzwanie dwójce żądnych przygód dziewięciolatków.

– Ja! – woła Zośka.

– Ja! – ryczy Franek, unosząc rękę, jakby był w szkole.

– No to zobaczymy!

Wymyśliłam, że limonkę trzeba zjeść bez najmniejszego skrzywienia, z radosnym wyrazem twarzy i pełnometrażowym uśmiechem. Biorę pokrywkę i tłuczek do mięsa i uderzam w gong.

– Uwagaaa! Limonkowe zawody uważam za otwarte!

Dzieciaczki chichrają się, jakby ktoś włączył w podłodze funkcję intensywnego łaskotania stóp. Zaczyna Zośka. Chwila ciszy i... Udało się. Plasterek owocu ląduje w Zosinym brzuchu. Limonkowy pozeracz z wdziękiem prezentuje nienaganny uśmiech. Pora na Franka. Synek ambitnie życzy sobie gruby plaster wielkości połowy limonki. Gorąco mu kibicujemy, raz po raz strzelając salwami niepoohamowanego śmiechu. Chwila słabości. Przelotny grymas i uśmiech od ucha do ucha.

– Superkwaśnokwaśne! – wykrzykuje Franek, ochoczo sięgając po drugi, ostatni już, kawałek limonki.

– Starczy, kwaśnoluby! Bo nie będzie z czego zrobić lemoniady!

– Wyrażam im unurzany w soku palcem.

– Mamo, teraz twoja kolej! – Zośka nie pozwala mi się wymigać z zawodów.

– Ma-ma! Ma-ma! – skandują podeksycytowane stworki.

Polykam plaster limonki, wylewając przy tym łyżkę śmiechowych łez. Niestety, bliźniaki stwierdziły, że mój uśmiech był bardziej podobny do kwaśnego grymasu. Zajmuję zatem zaszczytne ostatnie miejsce w zawodach. Zośka i Franek, tym razem bez walki, jednogłośnie, okrzykują się zwycięzcami. Wyciskamy do dzbanka resztki pokonkursowych limonek i dodajemy cytrynę. Postanawiam jednak urozmaicić monotony lemoniadowy przepis. Zamiast cukru dodaję miód i garść liści mięty z dzikiej części mojego ogródka. Lemoniada okazuje się patentowaną „śmiecholadą”.

Wysłałam rozchichotane stworki do szkoły, a sama, mimo że zaczynam dzisiaj w samo południe, spóźniam się do pracy. Jutro wygrzebię rower i zmienię parę nóg na parę oszprychowanych kół. Może trochę potu ze mnie wypłynie, ale przynajmniej nie ze strachu, że zadrasnę na parkingu gablotę szefa.

Wieczorem dopadają mnie pierwsze macki kryzysu. Jestem na głodzie czekoladowym i mam okropną chćicę na nową parę czegośkolwiek. Mogłyby być nawet majtki albo kropkowane skarpetki... Ratunku, jutro dopiero środa!

Rower ma zepsute światła i wymoszczony jest sporą warstwą kurzu. Postanawiam go zawieźć do rowerowego spa pana Henia. Dwukołowiec odbieram z lekkim drżeniem serca. Ostatni raz jeździłam na nim jakieś cztery, pięć lat temu, ale co tam! Na siodełku siada stateczna paniusia, a zsiada z niego roztrzepotana nastolatka. Wiatr na policzkach, mięśnie nóg rozgrzane do czerwoności. Upior-

nie dobry pomysł z tym rowerem. W powrotnej drodze jadę do grajka. Udaję, że mnie nie widzi, licząc, że w końcu wrzucę mu coś do kapelusza. Kiedy robi sobie przerwę, a ja wciąż sterczę mu przed nosem, nie wytrzymuje i posyła mi swój donżuanowski uśmiech.

– Wiem, jaki jest twój ulubiony smak. Limonkowy!

– Skąd wiesz?

– Pachniesz limonkami! – Ostrożnie odkłada skrzypce, kątem oka sprawdzając zawartość swojej puszkki.

– Robiłam z dziećmi lemoniadę. Pierwszą w swojej karierze – rzucam jednym tchem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie przyznać się, że w kieszeni mam trzy wyniuchane na ryneczku lekko nadgniłe limonki, które solidny sprzedawca uznał za niesprzedawalne i odłożył do porzuconej skrzynki.

– Udała się?

– Wyjątkowo!

– Czemu cię tu nigdy wcześniej nie widziałem? – Skrzypek przerywa nuty. Udaję, że nie zauważam jego ukradkowych spojrzeń.

– Wcześniej byłam trybikiem. Na szczęście wypadłam z trybów! – wyjaśniam. Próbuję zrobić przy tym poważną minę, ale krztuszę się połykanymi haustami śmiechu.

– Następnym razem wrzuc mi coś do kapelusza. – Zaczyna pierwsze takty nieśmiertelnych *Czterech pór roku*.

– Nie mogę. Zamroziłam swój portfel!

Odwracam się na pięcie. Z rozbiegu wskazuję na rower. Facet musiał mnie wziąć za idiotkę. No, ale jak mam człowiekowi wytłumaczyć, że naprawdę schowałam portfel do zamrażalnika?

Dzisiaj moja największa próba – pieczenie chleba. Aby uniknąć zakupów, wykorzystałam sąsiedzkie pogaduszki z Jolką. Sąsiadka nie dość, że miała drożdże, to jeszcze uraczyła mnie siemieniem lnianym i mąką orkiszową. Powiedziała, że skoro mam natchnienie na pieczenie chleba, to muszę zacząć od tego, co najlepsze. Wojtek czai się przed komputerem, ale o nic nie pyta. Pewnie uznał,

że mam jakiś przedwczesny napad kryzysu wieku średniego albo coś w tym rodzaju. Dzieciaki chcą pomagać. Po wczorajszej limonkowo-cytrynowej imprezie kuchnia stała się dla nich najlepszym placem zabaw. Włączam Beatlesów. *It's been a hard day's night...* W umęczonych rękach ściskam umęczoną karteczkę z przepisem od Jolki. Sypiemy mąkę w rytmie rock and rolla.

### **Chleb orkiszowy na drożdżach dla początkujących**

#### *Składniki:*

- 400 g mąki orkiszowej
- łyżeczka soli
- 2 kopiaсте łyżeczki suchych drożdży
- łyżka oliwy
- łyżeczka miodu
- szklanka ciepłej wody
- siemię lniane do posypania chleba

Wyrabiam ciasto, korzystając z pomocy dwóch par dziewięcioletnich rąk, które – nie da się ukryć – są chętne do niekończących się eksperymentów. Pozwalam im na przednią zabawę. Dosypuję mąki i podwajam ilość składników. Połowę ciasta oddaję w ręce rozchichotanych diabłów. Drugą połowę zajmuję się sama.

W wielkiej misie mieszam drewnianą łyżką składniki sypkie – mąkę, sól i drożdże. Po pracach mieszalniczych dodaję do suchej mikstury oliwę, miód i wodę. Wyrabiam ciasto tanecznymi ruchami ramion, przedramion, nadgarstków i dłoni. Od czasu do czasu dołączam ruchy bioder i nóg. Bliźniaki uprawiają swoje własne ciastowo-taneczne zapasy. Mąka miesza się z rockandrollowym rytmem i ląduje na naszych włosach, nosach, tudzież innych częściach ciała. Trzy przyprószone bielą stwory zanurzają się po uszy w chlebową manufakturę. Po kwadransie zabieram się do szukania naczyń do pieczenia i znajduję tylko niewielką keksówkę. Dla Franka i Zośki

szykuję więc okrągłą tortową blachę. Keksówkę i tortownicę smaruję oliwą i sadowię w nich nasze wytwory prac ręcznych. Odstawiam je w ciepły kuchenny zakątek na godzinę. Gdy ciasto dorasta do brzegów brytfanny, smaruję je jajkiem, posypuję siemieniem lniwym i na 45 minut oddaję we władanie rozgrzanego do 200 stopni piekarnika. Raz jeszcze włączam *It's been a hard day's night*. Trzy umączone stwory muszą teraz stanąć przed nie lada wyzwaniem – odgruzowaniem kuchennego placu zabaw.

Zapach własnoręcznie upieczonego chleba jest czystym koncentratem piękna. Chodzimy po domu nabuzowani i szczerzymy się do siebie. Wyciągnęłam z niebieskiej skrzynki ze spizarki słoiczek miodu gryczanego. Pasuje idealnie. Z piekarnika wyskakują małe dzieła sztuki. Jeden pulchny prostokąt i dwa lekko spłaszczone koła. Bliźniaki pochłaniają swoje chlebowe buły na ciepło, bez zbędnych dodatków. Wojtek czai się na progu i korzystając z chwili mojej nieuwagi, odrywa wielki kawał gorącej rumianej skórki. Wkrótce też ogłasza się największym smakoszem domowych wypieków i szumnie zapowiada, że niedługo założy własną chlebową manufakturę.

Jutro niedziela. Ostatni dzień pierwszego tygodnia. Wymyśliłam wycieczkę rowerową i piknik z orkiszowym chlebem w roli głównej. No i ciasteczka owsiane (Jolkę zżerała ciekawość, przyszła wieczorem sprawdzić, jak mi się udał chlebowy debiut, i przyniosła wór ciastek, na wypadek gdyby trzeba było mnie pocieszyć). Uprawiamy też zgodnie znową milczenia. Nikt nie wspomina o straconej cotygodniowej konsumpcyjnej orgietce. Chyba wszyscy dziwnym trafem doszli do wniosku, że bez kupowania jest fajniej.

Wracamy. Umorusani, ubłoceni, uszczęśliwieni po uszy. Dopiero siedząc w wannie, uświadamiam sobie, jak bardzo brakowało mi wspólnie spędzanego czasu. Byliśmy razem całą bożą dniówkę. Uśmialiśmy się jak norki, powściekaliśmy się ledwie odrobinę, poszaleliśmy na całego. Uwolniliśmy mnóstwo endorfin. Dzieciaki

zmieniły się w śpiące anioły już o dziewiątej dwadzieścia. Ostatni wieczór bez pieniędzy. Czy jutro rozmrozę portfel i zacznę dzień od buszowania w konsumpcyjnej dżungli? Sądząc po czystce w lodówce i przetrzebionych półkach w spiżarni, wizyta w spożywczaku jest jak najbardziej zalecana. Na razie jednak nie chcę o tym nawet myśleć.

Wojtek zamienia się w kota. Bezszelstnie pojawia się w kuchni, obejmuje mnie od tyłu i całuje w kark. Czy można wymyślić lepszy scenariusz na zakończenie pierwszego tygodnia?